



pismo z kręgu RSA

# LaBestia

A-556/18

18

pismo ukazuje się od 1995 roku

kontakt: [labestia@pocztowny.net](mailto:labestia@pocztowny.net)

LaBestia, P.O. Box 118, 80-470 Gdańsk 45

## BAZA WOLNOŚCI albo WALKA KLAS

Czy możliwa jest wolność na cudzym? Czy można być wolnym pracując u kogoś, realizując cudze pomysły, myśląc cudzymi kategoriami!? I czy możliwa jest w tej sytuacji wspólnota ludzka bez wspólnej pracy, organizacji czy kultury, słowem – bez wspólnego życia?! Od święta, w państwie czy związkach zawodowych, na wakacjach, koncertach czy w telewizji...

Można zresztą sformułować ów problem inaczej – czy mamy dziś jeszcze do czynienia z walką klas? Wielu publicystów i uczonych sugeruje bowiem, że ta skończyła się, bo nie jest możliwa w tak wysoko rozwiniętym świecie, albo, że dziś co innego jest przedmiotem sporu, np. styl życia, wartości itp. – co ja nazywam „kulturyzmem”.

Sugeruje się np., iż dziś to media rządzą światem, tymczasem nadal robi to państwo i kapitał, choćby przy pomocy – m. in. – owych mediów, o czym nie wolno zapominać. Kościół stawał przede wszystkim na rację, państwo na [prze]moc, rynek zaś na racjonalną moc techniki. Każda władza używała jednak **wszystkich** tych metod – kolejne władze nie zastępują się, lecz kumulują – akcentując co najwyżej którąś z nich. Każda opierała się na dysponowaniu środkami pozwalającymi na aktywność w danych wymiarach. Mówi się też o roli informacji, ale informacją umożliwiającą rządzenie jest nie tylko to, co publikuje się w mediach. Bez własności środków upowszechniania sama informacja zresztą niewiele znaczy, zaś kulturyzm (w imię sporu o wartości) zapomina często walczyć o owe środki realnego wpływu na rzeczywistość, czym rozbraja społeczeństwo.

Wiara, że dziś kultura jest ważniejsza od ekonomii (nie mówiąc już o polityce) dowodzi głębokiego nieporozumienia. Czemuż jednak się dziwić – punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, więc intelektualiści kochają kulturkę. Liczą na to, że przez nią będą mieli wpływ na życie

publiczne – czy chociażby własne – a [więc] przede wszystkim dostęp do kasy. Od zawsze do teraz nic się jednak nie zmieniło, **walka klas** jak trwała, tak trwa i nadal idzie o to, by w owej walce położyć **kres** odwiecznej **alienacji**, czyli przepaści między wykonywaniem jakiejś pracy czy czynności a możliwością decydowania o niej – rozdźwiękiem między [naszym] życiem a [cudzą nad nim] władzą!

Sądę, iż przenoszenie konfliktu w wymiar *wirtualny* jest nawet na rękę kapitalowi, bo nie musi on niczego produkować, by kupić masy. Widać stąd, że taki **bunt** jest tylko *wentylem bezpieczeństwa* systemu i o ile nie umie go obalić – wzmacnia go wręcz, niczym szczepionka. Typowym przykładem jest rewolta '68, która pozwoliła wypromować luz jako slogan reklamowy (to samo dzieje się teraz z ekologią). Podobnie jest zresztą z różnymi *organizacjami pozarządowymi*, które zajmując miejsce państwa w wielu dziedzinach związanych z opieką społeczną, służbą zdrowia, oświatą itp., uwalniają od tych spraw administrację i pozwalają zmniejszyć podatki od kapitału, by zwiększyć jego zyski. Wszystko to, co i tak się daje na państwo, można teraz przeznaczyć na policję – *nocnego stróża* kapitału. Jest to powrotem do XIX-wiecznego kapitalizmu, gdzie rząd zajmował się tylko sądami i terrorem, a resztę powierzano miłosierdziu bogaczy. Zastanawiam się, czy w tej sytuacji należy mówić o *upublicznieniu wartości życia prywatnego*, jak widzą to kulturyści z obu stron, dla których przerywanie ciąży jest ważniejsze od tego, *kto tu rządzi*. Czy nie powinno się raczej podkreślać *re/prywatyzacji organizacji życia społecznego!*? To przecież od osób prywatnych zależy nie tylko to, czy bezdomny dostanie coś do zjedzenia, ale i polityka państw, które z re/publiki (kulawej, ale rzeczy/pospolitej) klasy średniej stają się wykonawcami usług wobec światowego kapitału, od którego kasy i reklamy zależą partie nimi rządzące.

**MAM DOŚĆ —**

O tym, że nic się nie zmieniło, mimo Internetu itp. zabawek dla umysłu, przekonuje mnie krok wstecz, wykonany przez kapitalizm – ku spekulacji zamiast produkcji na rynek.



Nie trzeba bowiem już tak bardzo dbać o konsumenta, który sam bierze udział w *wyścigu szczurów* – już nie po to by wygrać prestiż czy zaspokoić rozbudzone przez kontestację '68 pragnienia, ale po to, by móc zwyczajnie przeżyć czy utrzymać się na dotychczasowym poziomie życia. Jest to właśnie efekt wycofania się przez władze z idei opieki społecznej. Dowodzi tego także fakt, że kapitalizm nie został zdemokratyzowany nawet w takim stopniu, jak religia czy polityka, że o usamorządowieniu kultury, ekonomii i polityki nie wspomnę.

Jeśli idzie o panowanie klasowe, można wyróżnić trzy formy władzy opartej o własność, czyli możliwość dysponowania środkami – indoktrynacji, przymusu i produkcji. Zarówno władza, jak i wolność mogą mieć miejsce w trzech wymiarach: **ekonomicznym** (w stosunku do świata rzeczy), **politycznym** (w stosunku do świata ludzi) i **kulturowym** (w stosunku do świata wyobrażeń o nich, to jest o rzeczach, ludziach i samych wyobrażeniach). Ich zakres może być różny – dysponować owymi środkami w wyżej wymienionych sferach mogą elity, klasy średnie (w tym i inteligencja) lub masy. Ten ostatni zakres we wszystkich wymiarach byłby pełnym wyzwoleniem – czymś, co nazywam *samorządną rzecząpospolitą*. Władca nimi można indywidualnie i kolektywnie. Różne mogą być też formy dysponowania danymi środkami. Może istnieć własność prywatna czy publiczna, ale i podzielona, ba – można też mieć wpływ –prośbę czy groźbę, choćby z pomocą władzy innego wymiaru – na cudze środki etc.

Wolność i własność prywatna historycznie rzecz biorąc ściągały na ogół razem. Czy oznacza to, iż własność jest podstawą wolności? Tak było i w demokracji szlacheckiej (inaczej niż we wschodnich despotiach, a nawet zachodnim feudalizmie), i w burżuazyjnej (w przeciwieństwie do socjalistycznego etatyzmu). Czy jednak wolność wyrasta z własności, czy raczej jest jej warunkiem!? Sądzę, iż to drugie – bez wolności własność można łatwo zabrać. Można ją też dać, a i tak sama z siebie nie uczy demokracji, nie da wolności politycznej. Ktoś, kto coś ma, będzie jednak prawa do tego bronił, a więc i poszerzał swoją, a pośrednio i cudzą, wolność od uroszczeń władz.

Faktem jest, iż łatwiej organizować się w świecie idei niż polityki, szczególnie zaś gospodarki, a to ze względu na ich *nieuchwytliwość i taniść*. Wolność (wola) działa więc w jedną stronę, gdy konieczność (i możliwości) w przeciwną. Wola najłatwiej przejawia się w myślach, słabiej w czynach, a najtrudniej materializuje się. Konieczności (przymusowi) zaś najłatwiej jest opanować rzeczy, trudniej czyny, najtrudniej ludzkie myśli. Dzieje się tak dla całej woli i mocy, a więc zarówno dla społeczeństwa, jak i dla władzy. Historycznie najpierw opanowano kulturę, stąd władza kościoła, potem społeczeństwo i rządy państwa, a w końcu technika panująca nad naturą i władza rynku nad pracą ludzi z pomocą marchewki zamiast kija. Także kontestacja systemu zaczyna się od idejek, potem tworzy się organizacje, a na koniec robi *skok na kasę*, czyli przejmując się środki indoktrynacji, przymusu i produkcji. Z drugiej strony większe środki dla realizacji celów daje gospodarka niż polityka, a zwłaszcza kultura. To kasa pozwala kupić przemoc, którą próbuje się tłumić swobodę / myśli. W sytuacji, gdy któregoś z nich brak, usiłuje się nieraz nadrobić to przy pomocy władzy niższego rzędu. Stąd biorą się reżimy ideologiczne w krajach niedorozwiniętych gospodarczo, ale i przewroty polityczne jako warunek zmiany w systemie własności.

Od naszych możliwości dysponowania środkami tworzenia wartości, dóbr i stosunków międzyludzkich zależy często społeczny lub prywatny wymiar naszej aktywności, a więc i chęć do współpracy z innymi lub zamykanie się w swoim prywatnym świecie *ego*. Bezradność bowiem desocjalizuje, choć z drugiej strony eliminacja z oficjalnej gry o pozycję społeczną skłania nas czasem do organizowania się poza układem. Człowiek skazany na [nie]łaskę systemu nie potrafi na ogół wyjść poza kwestię przeżycia (*głodnemu tylko chleb na myśli*,

nawet jeśli nie ma go przez niewolę). Ale i ten, dla kogo system jest łaskawy w zamian staje się jego niewolnikiem i dla wizji nagrody bierze udział w *wyścigu szczurów*. Nie trzeba gonić go kijem, ba – często nawet dać owej marchewki nie trzeba – na ogół starczy ją pokazać. Gdy jednak nagroda mija go po raz kolejny i gdy straci na nią wszelką nadzieję – może się zbuntować i poszukać alternatywnego systemu, a w pewnych sytuacjach nawet zacząć samemu go tworzyć (coś takiego dzieje się teraz ponoć na dużą skalę w Argentynie). W tym ostatnim przypadku może być to początek drogi do wyzwolenia. Wszystko zależy od tego, czy nasza wola znajduje dla siebie oparcie w bazie materialnej, możliwość realizacji idei w praktyce.

Edward Abramowski pomiędzy **bazą**, czyli systemem własności środków produkcji, przymusu i indoktrynacji, a **nadbudową**, a więc układem stosunków społecznych, widział **sumienie**, osobisty wybór postępowania. Człowiek w każdej sytuacji dąży do wpływu na swe otoczenie tak, by chciał i mógł w nim żyć. Robi to na wiele sposobów jednocześnie, miotając się często między nimi i nie do końca zdając sobie

z nich sprawę, łącząc się w tym z innymi ludźmi. Czasem angażuje się do tego stopnia, iż nie dba o to, czy sam zbierze owoce swego czynu (inna rzecz, że sam udział w owym dziele może być też wartością godną wysiłku i poświęcenia). A że dążenia są różne – często ich wypadkowa może zadziwić wszystkie strony konfliktu. Prosty przykład: wzrost produkcji był w swoim czasie owocem... walki kapitału o zysk, a robotników o godną płacę – by dogodzić obu stronom trzeba było więcej produkować, by móc to sprzedać (większy zysk) i mieć komu (po-trzeba wyższych płac – inaczej groził kryzys nadprodukcji). Dziś kapitał spekulacyjny jest bardziej pazerny i rynek załamuje się. Jeśli pójdzie to dalej w tą stronę – może się okazać, iż będzie się miało miliardy niczego i rozwścieczone masy, jak we wspomnianej już Argentynie. Poza grą społeczną działają tu preferencje indywidualne ludzi (jeden lubi dużo, drugi – dobrze, a inny po ryju), choć i one zależą w dużym stopniu od otoczenia. Kiedy np. kasa jest na topie, a jeśli brak uniemożliwia przeżycie, to musisz o tym pomyśleć, nawet jeśli interesuje cię duchowy aspekt *budo* czy platoniczny marksizm a nie interesy, choć oczywiście nie poświęcisz jej może tyle uwagi, ile poświęcają jej szczyry biorące udział w wyścigu.

Drugim wyjściem jest taki system, który będzie preferował wybór dobra, a nie zmuszał dłoń do heroizmu i wyrzeczeń, czy choćby gry. Dziś często przedstawia się życie społeczne jako spektakl, tak jakby to wszystko, a więc walka klas, panowanie systemu nad naszym życiem i nasz opór przeciwko temu, nie działo się naprawdę, a było jedynie grą w sferze symboli. Modne określenia na temat *aktorów społecznych*, i szerzej – cała tak zwana *myśl krytyczna*, to dostrzeganie spektaklu i... zadowolenie się nim w praktyce – ów kulturyzm z definicji oznacza udział w spektaklu a nie czyn. Ważne jest, żeby zeń czerpać przyjemność, a nie zmieniać go czy tym bardziej obalać! Nie neguję doraźnej wartości tego, nie sądzę, że *im gorzej tym lepiej*. Dostrzegam też ważną rolę krytycznej świadomości jako pierwszego kroku ku zmianie układu. Nie jest to jednak dla mnie cel, a nawet główny środek doń. Można się więc zadowolić rolą w spektaklu, zastępowaniem lub torpedowaniem niechcianych działań władzy i kapitału czy wymuszaniem na nim innych, nam odpowiadających oraz hobbyistycznym kulturowaniem i propagowaniem własnych wartości, by system raczył uznać je za normy własne i zorganizować się w oparciu o nie. Można zająć się wręcz *znikaniem* (jak proponował Hakim Bey w *Tymczasowej Strefie Autonomicznej*), by uchylić się systemowi i poczuć na luzie. Jeśli jednak chcemy czegoś więcej, musimy pójść o krok dalej, wstecz – ku próbie przejęcia władzy i narzucenia się siłą (co mnie nie interesuje), albo do przodu – ku tworzeniu samorządnej wspólnoty rzeczpospolitej, lub –jeśli dogadanie się z innymi jest niemożliwe– wielu wspólnot obok, ale i poza zasięgiem systemu!



Budowanie wolności wymaga niezależnienia się od ochlapów rzuconych przez system, czyli przeróżnych grantów, dotacji, ustaw o pomocności, równouprawnieniu kobiet, mniejszościach i samorządzie lokalnym etc. Także od przysmykania przez system oka na LETS-y (czyli lokalne sieci wymiany ekonomicznej) i skłoty, co jest niezbędne przy braku prawa własności, czy też użytkowania danych obiektów, a więc pod stałą groźbą likwidacji owych *niezależnych* centrów. Trzeba się oprzeć na własnych środkach produkcji, przymusu i indoktrynacji, czy raczej auto reprodukcji = samo kształtowania się społeczeństwa, a nie tylko samo kształcenia się, życia w świecie wartości! To nie jakieś *normy kultury*, lecz brak dostępu społeczeństwa do materialnych podstaw kształtowania życia jako **podmiot** własnego działania – a nie cudzy **przedmiot** – sprawia, iż system wygląda tak a nie inaczej. Świadomość jest w walce ważna i może kiedyś sama wola stanie się źródłem czynu, ale – jak widać na przykładzie *kulturyzmu* – może być też *klamstwem klasowym*, zwodzącym w interesie elit masy i twierdzącym, iż to *maksimum rozsądnych* – choćby i rewolucyjnych – *żądań*. Jakież to podobne do demokracji rynkowej.

Nie obawiam się przy tym, iż walka klas mogłoby się przekształcić w dążenie do zdobycia władzy, co, jak dowiodły dzieje ruchu robotniczego, nie daje na ogół nic dobrego, zwłaszcza dla życia codziennego jednostki. Nie obawiam się, ponieważ w rodzimym nurcie myśli polskiej, wyrosłym z humanizmu, człowiek był zawsze ważniejszy od *boga, rynku czy historii* W/Z Europy, tak w wersji chrześcijańskiej (koncyliarnej czy Bracia Polscy), politycznej (demokracja szlachecka) czy romaryntycznej (filozofia czynu), jak i socjalistycznej – samorządowej (Abramowski, PPS, PSL). Nie przeraża mnie też wizja *instytucjonalizacji* – bo cóż to znaczy? Czy idzie o wpasowanie się w system (jak związki zawodowe), czy o dogmatyzację (jak gmina chrześcijańska stająca się kościołem), czy też o przejście od etapu propozycji – ruchu społecznego do jej urzeczywistnienia w postaci rzeczpospolitej, co wcale nie musi być zdobyciem władzy i stworzeniem instytucji, może bowiem ową władzę znieść i zastąpić samorządem, *żywym ciałem wspólnoty* bez hierarchii, przedstawicieli, pośredników, paragrafów i całej reszty tego szajsu właśnie. To samo z własnością zastąpioną prawem do użytkowania środków produkcji (znaczy to, że nie byłoby można ich mieć tylko formalnie, nie używając ich faktycznie, poza tym jednak wspólnota szanowałaby ów stan posiadania).

Dlatego sądzę, iż alternatywa: „brać władzę czy uchylać się życiu w swoim getcie?” jest fałszywa, bowiem w obu wypadkach pozostaje **władza**, w ręku *przedstawicieli społeczeństwa* czy w opozycji do niego, a nie ma **rzeczpospolitej** – samorządnej wspólnoty zamiast władzy. Uchylenie się od tworzenia własnej wspólnoty, wszystko jedno – jako **alternatywy** obok czy zamiast państwa, jest rezygnacją z woli na *rzecz dziania się* właśnie (bunt – choćby i permanentny – to jeszcze nie wolność). Niczym nie różni się to od postawy wpasowanych w system organizacji pozarządowych. Ów **dualizm** (albo poprę władzę, jej zdobycie – albo społeczeństwo, jego organizowanie) zamiast **syntezy** (władzy całej wspólnoty i każdej jednostki nad samą sobą) jest typowym nieporozumieniem intelektualnym i nie zmienia nic w istocie systemu. Co mi po wyzwoleniu własnych wartości, skoro nie mogę ich realizować, a co najwyższej wymusza to na systemie, który nadal zachowuje własność środków trójpanowania: media, policję i kasę!?

Tu pojawia się pytanie: czy do tego by **konkretnie** działała potrzeba **całościowej** wizji, czy nie wystarczy sam *akcjonizm*? Dla wielu ludzi tak, bowiem działanie może być dla nich celem samym w sobie. To zresztą może być główny motyw bycia w ruchu – coś *się dzieje*, jestem *ze swoimi* ludźmi etc. Wielu też wyraźnie unika czegoś więcej, bo taka szersza wizja antysystemowa kojarzy im się z rewolucją, a to jest już poważne ryzyko, bo to i lęk przed *wypaczeniami*, przez analogię z komuną, i odpowiedzialność większa (choć niektórzy i to mają za zabawę tylko). No i opór ze strony systemu większy: co innego ustąpić w konkretnej sprawie, a co innego uznać,

że coś jest nie w porządku w ogóle (nawiasem mówiąc, przypomina mi to swą połowicznością *rewizjonizm* z lat 1960-tych w Polsce i wszelkie inne reformizmy). I nie idzie mi tu o to, by gadać wciąż o rewolucji, ale o to, by zaprzeczyć *działania lokalnego* było *myślenie globalne*, bo bez tego łatwo się pogubić i pomylić cele ze środkami. Można np. uznać, że branie łapówek może poprawić finanse organizacji, a start w wyborach parlamentarnych – jej obecność w życiu publicznym. Doświadczenia *nowych ruchów* w Polsce, szczególnie ekologów, pokazują, iż nie jest to czysto teoretyczne zastrzeżenie. Przykładem z Zachodu z kolei niech będą niemieccy *Zieloni*, którzy – choć niby pacyfyści – za utrzymanie się w koalicji rządowej wyrazili zgodę na wysłanie wojsk niemieckich na wojnę w Afganistanie.

Dla mnie taką wizją całościową jest idea Samorządnej Rzeczpospolitej, w której cała władza przechodzi w ręce społeczeństwa zorganizowanego w

samorządy, lub –

jeśli nie idzie się dogadać – każdy żyje sam na swoim, nikomu nie służąc i od nikogo tego nie oczekując. Wspólnoty muszą same zaspokajać swoje potrzeby materialne czy duchowe i same się rządzić. Każdy człowiek winien być sam [współ] producentem, artystą / kapłanem i obywatelem. Tylko na swoim, a nie w najlepszym nawet, ale cudzym systemie, kościele czy firmie, można w pełni samodzielnie kształtować swoje życie. I tylko pracując, tworząc i organizując coś z ludźmi, od codziennego żarcia poczynając, a na *ruszaniu z posad bryły świata* kończąc, można stworzyć rzeczywistą wspólnotę. Taką, w której można liczyć na solidarność innych, odpowiedzialność za to, co ludzie tu robią, i w którą w pełni można się zaangażować. Nie wierzę w to w kościele – od święta. W firmie, w której nie chcemy być, a jesteśmy tylko dla kasy, by mieć z czego żyć. Na zadymie, po której każdy idzie w swoją stronę, by często już nigdy więcej się nie spotkać (że o jakimś narodzie [bez rzeczpospolitej] czy temu podobnych nie wspomnę). Różne akcje, skłoty, organizacje pozarządowe czy *nowe ruchy społeczne* itp. mogą być do tego wstępem, ale są one tylko przedszkolem lub propagandą pewnych idei, a nie ich realizacją – dlatego tak często są pozbawione wewnętrznej siły. To trochę tak, jak koncert lub mecz, albo wycieczka do egzotycznego kraju. Wcześniej czy później fala emocji opada i goście zabierają zabawki, by zająć się *prawdziwym* życiem w systemie. To dlatego też kontestacja tak trudno wyjść poza młode pokolenie. Jak się człowiek wyszumi to... pozostaje tylko powiedzenie, *że kto za młodu nie był... ten na starość będzie świnią*.

Dlatego nie wierzę w kulturyzm. To duch bez życia / materii, takie *nowe* chrześcijaństwo, które liczy na sumienie jednostki, nie wiedząc, iż istnieje ono w świecie, który mu sprzyja lub nie, i idzie o to, by warunki społeczne preferowały wybór dobra zamiast liczyć na heroizm jednostki, o to, by je stwarzać samemu a nie szukać w systemie. By to wiedzieć, starczyło sięgnąć do *filozofii czynu* czy wspomnianego już Abramowskiego. W obecnej postaci, czyli bez budowania realnej alternatywy samemu, a więc bez przejścia od kultury do samorządu, kontestacja może bowiem mobilizować do czegoś i coś głosić, ale tym czymś nie jest! Zaś w świecie *spektaklu* jej słabość ujawniło najnowsze *show* władzy: *walka z terroryzmem* dość skutecznie wyeliminowała *walkę z globalizacją* z mediów i świadomości ogółu.

J@ny



# KONIEC ŚWIATA

moje zetknięcia i zabawy z metafizyką



Beztróskie zabawy dzieciństwa trwały a tymczasem zbliżał się rok 1981. Gdzieś, na jakimś spotkaniu rodzinnym, ktoś poruszył temat końca świata. Zaraz posypały się przepowiednie. Poza tymi zaczerpniętymi z biblii była także jedna, którą pamiętam do dzisiaj. Był to cud, który wydarzył się kilka razy. I zawsze miał ten sam temat i scenery. Otóż niektórym pasażerom kolei polskich na trasie, której już nie pamiętam, ukazywała się matka boska. Za każdym razem napominała naród polski, że trzeba się modlić, bo tylko w ten sposób można uniknąć karzącej ręki pana. Przed przepowiedzianym armagedonem zawsze były jakieś znaki. Tu pamiętam, że mówiono o pięknym, gorącym lecie i mroźnej, krwawej zimie. Polska oczywiście miała wyjść z tego cała i być potężna, z granicami rozpostartymi od morza do morza.

No cóż wypadało robić, tylko czekać aż nastąpi gorące lato i mroźna zima. Te atrybuty akurat mi pasowały – w Gdańsku już dawno nie było ładnego lata a zimy to prawdziwe błotne chlapy. Przynajmniej przed śmiercią się opalę i może nauczę jeździć na nartach w „górach wieżyczych”. Druga część tej przepowiedni też była ciekawa, bo widzieć Polskę od „morza do morza” było by dla mnie, szesnastolatka nie lada przeżyciem. Póki co przyszło lato 1981, które raczej było politycznie i społecznie gorące, a potem naprawdę mroźna zima, kiedy to Wojtek Jaruzelski ukreślił zsyję wszystkim, co dobre się działo. Ani się nie opaliłem, ani nie nauczyłem jeździć na nartach, a Polska zrobiła się jeszcze mniejsza w moich oczach.

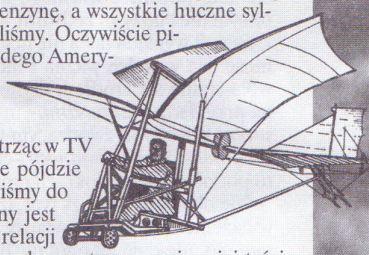
No cóż, myślę sobie, pewnie to jeszcze nie to. Wszyscy zapomnieli o armagedonie i wizjonerzy pewnie też, bo już nic potem nie widzieli i nie słyszeli. Pozostały tylko stara biblia i doznania opisywane przez ludzi przechodzących stan śmierci klinicznej. Oni mieli tam jakieś informacje z drugiej strony, ale żadne nie miały już wspólnych cech. Może poza tym, że po wszystkim Polska będzie mocarstwem. To jednak nie zmieniało mojej postawy wobec tych faktów i zacząłem je ignorować.

Za jakiś czas osiedliłem się w USA. Życie płynęło fajnie i bez zagrożeń. Wszyscy zapo-

wtc



mnieli o końcu świata i używali życia. Świat się dopiero właściwie zaczął. Padła żelazna kurtyna, Polska odzyskała niepodległość, a w Rosji wybrano prezydenta. Któż by pomyślał – no właśnie, przecież jedna z przepowiedni, którą powtarzała moja ś.p. babcia, mówiła o końcu świata poprzedzonym wyborem prezydenta w Rosji. Była to najbardziej lubiana przepowiednia przeze mnie. Jako nastolatek zdawałem sobie sprawę z sytuacji politycznej na świecie. Choć smuciliśmy się, że komuna nie padnie i prezydent Rosji nie zostanie wybrany, to cieszyłem się, że jeszcze długo pożyję. Teraz, kiedy mój ojciec to przypomniał, ciarki mi przeszły po plecach. No i do tego ten nadchodzący rok dwutysięczny. Wygląda na to, że nie wystarczy już, że będą trzęsienia ziemi, epidemie i inne kataklizmy, do tego dojdą kłopoty z elektroniką. To było naprawdę przerażające. Komputer siędzie, mikrofalówka przestanie działać, nie będę wiedział, która jest godzina i pozostanie tylko nudne oczekiwanie na koniec. Któż by wymyślił lepsze tortury i mękę.

Postanowiłem się przygotować tak jak inni. Zakupiłem program od-kręcający rzekomy błąd związany z datą dwa tysiące. Kupiłem zapas świeżej wody i mały generator na benzynę, a wszystkie hułcze sylwestry z dala od domu poodwoływałem. Oczywiście pi-  
szę wam jak to było naprawdę u każdego Amerykańca. Na zewnątrz każdy się śmiał, ale wewnątrz, w domu robił ciche przygotowania.

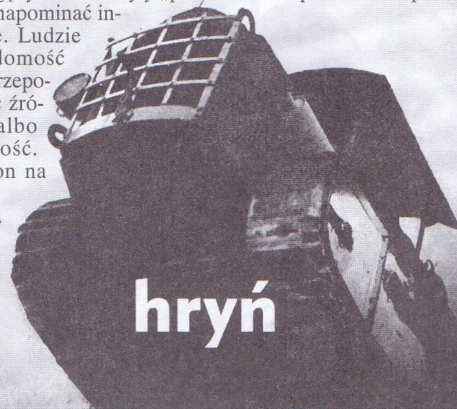
Przycupnęliśmy cicho w domu patrząc w TV i czekając aż bania na Time Square pojedzie do góry. W międzyczasie zadzwonił do Polski, bo tam już chyba od godziny jest nowy rok. Z radością wysłuchałem relacji bratanka z obsługi nowego programu komputerowego i mojej teściowej [na temat] smakowitego kurczaka podgrzanego bez problemów w mikrofalówce. Hej, nic nam nie będzie i tym razem świat się nie skończy – wykrzyknąłem i obalilem alkohol na podsumowanie wieczoru.

Potem żyliśmy sobie całkiem normalnie. Programy się przydały, wodę wypiliśmy, a i generator przydał się na nowej robocie, gdzie jeszcze nie było uzbrojenia terenu. Słowem wszystko wróciło do normy i trwało około roku. Aż do czasu, kiedy to włączyłem przypadkowo kanał Discovery na kablówce. Znowu temat śmierci klinicznej obil mi się o uszy, tyle że w innym kraju i kontynencie. Nie uwierzycie, ale tu też ludzie mieli z tym podobne doświadczenia. Widzieli, gdzie się zacznie armagedon i komu dowali najbardziej. Widzieli jak to będzie się rozgrywało, co będzie na początku a co na końcu. W tym temacie było wiele rozbieżności i różne opcje, ale znowu jedno było wspólne. Mianowicie po tym całym zamęciu i bałaganie USA będzie silniejsze niż poprzednio (tak jakby im tego brakowało do tej pory) i w gruncie rzeczy będzie najmniej zniszczone. – Co jest więc grane z tym wizjonerstwem? – Czy ta siła, ten bóg ładuje wszystkich, że nie im nie będzie i w końcu i tak przeżyją, a nawet wyjdą z tego silniejsi? – Czy też to nasza troska o miejsce zamieszkania i wewnętrzny szowinizm ironicznie zmienia koniec w happy end nawet podświadomie w tak tragicznym momencie? – Rozgorzała dyskusja w małym gronie moich przyjaciół i znowu posypały się przykłady przepowiedni. W jednej z nich początek końca miał bardziej tutejszy charakter i przez to tak nieprawdopodobny. Otóż wszystko zacznie się od zniszczenia (tu nie było sprecyzowane czy spalanie czy wysadzenie w powietrze) giełdy nowojorskiej. Wtedy to będzie straszny krach na giełdzie, no i zacznie się. – Co się zacznie? – Wszystko, co możliwe, wojny, trzęsienia ziemi i inne kataklizmy.

Stop, chwileczkę, ..... Mogę zrozumieć, że po załamaniu giełdy zacznie się jakiś tam konflikt zbrojny, chaos na ulicach albo rozboje. Ale żeby kataklizmy? – Chyba, że pan bóg też grał na giełdzie i wszystko stracił?

Tak postawione pytania nie spotkały się z odpowiedzią i trzeba było znowu o wszystkim zapomnieć na jakiś czas.

No i ten czas przyszedł, nawet szybko. Dwa budynki koło giełdy runęły w gruzy, giełdę zamknięto na jakiś czas, a kiedy ją otworzono, wszystko spadło na ryja. Nie było końca świata – jeszcze nie nadszedł, ale pytania zostały. No i oczywiście wciąż nurtują. Chociaż w rzeczywistości wydarzenia nie były tak katastroficzne, to wszystkie z tych dwóch przepowiedni, polska sprzed 13 grudnia i amerykańska z przed 11 września, były w jakiś sposób odbiciem późniejszych faktów. Moja teoria na ten temat jest następująca. Otóż, kiedy zakopać się w faktach i relacjach możemy dojść do wniosku, że zawsze przed tymi wydarzeniami ktoś puścił parę z gęby. Zawsze były „przecięci z bezpieki”. Ktoś próbował ostrzegać i napominać innych nieoficjalnie. Ludzie przekazując wiadomość nadal jej oprawę przepowiedni, żeby ukryć źródło informacji albo ubarwić wiadomość. Taki głuchy telefon na dużą skalę. He, he, dobre co...



hryń